

MARGINESY

Kim jesteś

Po rozwodzie Andrzej długo nie mógł się otrząsnąć. Kolejne oszczerstwa i obelgi padające z ust kobiety, u boku której spędził niemal dwadzieścia lat życia, przestawały już robić na nim specjalne wrażenie. Nie protestował też, kiedy żona wyciągała rękę po kolejne nieruchomości i pieniądze, na które Andrzej pracował, gdy ona biegała między fryzjerem, fitnesssem i luksusowymi sklepami. Gorycz związaną z przeciągającym się rozwodem potęgował fakt, że jego jedyny syn wziął podczas rozvodu stronę matki.

Od czasu rozwodu Andrzej z jeszcze większą determinacją poświęcił się pracy i w dalszym ciągu robił to, za co tak bardzo ceniła go była żona – przemieniał wszystko, czego tylko się dotknął, w świetną inwestycję. Nie zmienia to jednak faktu, że zaczął także częściej sięgać po używki. Przestał również chodzić na siłownię. Za namową zmartwionych przyjaciół postanowił się nawet wybrać do psychoanalityka. I prawdopodobnie taki stan wewnętrznego rozkładu pogłębiałby się w dalszym ciągu, gdyby jeden ze współników nie przymusił go do zatrudnienia asystentki. Młoda, żywiołowa i pełna ideałów Karolina od samego początku niezmiernie irytowała Andrzeja. Wtrącała się absolutnie we wszystko – zaczęła od uporządkowania bałaganu w biurze. W efekcie jej porządków Andrzej przez trzy tygodnie nie mógł niczego znaleźć. Następnie zabrała się za segregowanie jego biurowej szafy, zamieniła czarną jak smoła kawę, od której Andrzej zaczynał od lat swój dzień, na kilka rodzajów zielonej herbaty. Miarka się jednak przebrała, gdy zmusiła go do zakupu kilku nowych koszul i krawatów. Totalnie zdezorientowany Andrzej, któremu mimo ciężkich przejść z byłą żoną nikt nigdy nie rozkazywał, zakochał się bez pamięci w szesnastolatce młodszej pracownicy.

Karolina nie wykorzystywała jednak relacji, która zaczęła się rodzić między nią a szefem. Sprawnie oddzielała swoje obowiązki zawodowe od coraz częstszych prywatnych spotkań z Andrzejem. Tymczasem Andrzej odżył – przyjaciele zauważyli, że w ciągu niespełna dwóch miesięcy stał się młodszy o co najmniej dziesięć lat. Nie minęło pół roku i oświadczył się Karolinie. Niedługo po tym, odbył się skromny ślub, na który zaproszono najbliższą rodzinę. Zabrakło na nim jednak jego syna, z którym był ciągle skłócony. Niedługo potem okazało się także, że Karolina jest w ciąży.

Po narodzinach Zosi Andrzej, w odróżnieniu od tego, jak zachowywał się przy pierwszym dziecku, całkowicie poświęcił się ojcostwu. Od samego początku przewijał, karmił, kąpał i usypiał córkę. Starał się również ograniczyć czas spędzany w biurze. Przez kolejne lata Zosia była oczkiem w głowie rodziców. Spokój sporadycznie burzyła jedynie żona, a właściwie syn Andrzeja, którego nasyłała od czasu do czasu z kolejnymi żądaniami, które Andrzej bez szemrania spełniał. Ciągłe dręczyły go bowiem wyrzuty sumienia związane z czasem, którego szczydził na wychowanie pierwszego dziecka.

Gdyby jednak odjąć te sporadyczne niepokoje, można by powiedzieć, że życie Andrzeja przypominało sielankę. Prawdopodobnie ten stan niezakłóconego szczęścia trwałby w najlepsze, gdyby nie rutynowe badania krwi, na które pewnego dnia zabrał swoją córeczkę. W czasie badań kontrolnych zauważył bowiem, że jego dziecko ma grupę krwi, która nijak ma się do tej, jaką ma on sam. Dobrze pamiętał, jaką grupę krwi ma jego żona i mimo ściśle ekonomicznego wykształcenia był prawie pewien, że Zosia nie może być jego dzieckiem.

Dla pewności, skonsultował się jeszcze ze znajomym lekarzem i za jego poradą zlecił prywatne badania genetyczne, które potwierdziły jego najgorsze przypuszczenia. Ciągłe kochał żonę i nie mógł uwierzyć w jej zdradę oraz przyjąć, że przez te lata był oszukiwany w najistotniejszej dla niego sprawie.

Przez kolejne tygodnie Andrzej miotał się jak opętany. Zupełnie nie potrafił wszczać rozmowy z żoną. Miłość do Zosi nie zmniejszyła się – dalej spędzał z nią każdą wolną chwilę. Przez cały czas widział w niej jednak żywy dowód niewierności kobiety, która kilka lat temu odmieniła jego życie.

Targany masą wątpliwości, postanowił dla własnego spokoju rozpocząć śledztwo, które miało wykazać, kto jest biologicznym ojcem jego córki. Chciał znać wszystkie szczegóły, a wtedy zdecydować, czy nadszedł czas, żeby pogodzić się z rozpadem kolejnego związku.

Dochođenje zaczął od dyplomatycznego przepytania wspólnych znajomych jego i Karoliny. Przejrzał też jej notatki, przewertował książki i pliki w komputerze, szukając jakichkolwiek śladów zdrady sprzed lat. Wszystko to nie przyniosło żadnych rezultatów. Postanowił więc zagrać *va banque* i zdecydował się na rozmowę z byłym chłopakiem żony, z którym utrzymywała kontakt przez jakiś czas po ich rozstaniu. Wojtek jednak nie tylko stanowczo zaprzeczył przypuszczeniom Andrzeja, ale nawet go wyśmiał.

Zdruzgotany mężczyzna czuł się jak po pierwszym małżeństwie – naiwny i wykorzystany. Wtedy też natrafił w domu na schowany w garderobie plik medycznej dokumentacji. Kolejne wyniki badań, wykresy i zdjęcia wskazywały, że kilka lat temu jego żona przeszła szereg skomplikowanych badań i prawdopodobnie poddała się zapłodnieniu *in vitro*. Przystudiował dokładnie znalezione materiały i już sam nie wiedział, czy ta wiedza winna go cieszyć, czy smucić.

Zaczął się zastanawiać nad powodem, dla którego Karolina podjęła prawdopodobnie decyzję, by to nie on był ojcem ich dziecka. Kolejne domysły i przypuszczenia rodzące się w głowie Andrzeja stawały się coraz bardziej bolesne. Siedząc przy biurku, przeglądał rodzinne papiery. Wśród nich natknął się na zdjęcie własnej matki. Było to jedyne zdjęcie, na którym widział ją uśmiechniętą i szczęśliwą. Zdjęcie zostało wykonane tuż przed jej samobójczą śmiercią spowodowaną pogłębiającą się chorobą psychiczną. Kolejne przeglądane przez niego papiery, do których nie wracał od lat, a które przypominały mu rzeczy całkowicie wyparte pamięci, powoli rozjaśniły mu pobudki jego żony.

Gdy Karolina wróciła do domu, nie była świadoma, że mąż już zna jej tajemnicę. Od lat pragnęła mu ją wyjawić, bała się jednak, że nie będzie mu umiała wyjaśnić, jak bardzo przerażała ją myśl, że ich dziecko może zostać dotknięte chorobą psychiczną. On jednak, choć kosztowało go to wiele wysiłku, zrozumiał jej wybór i obiecał sobie, że nic się nie zmieni w ich dotychczasowym życiu. ■

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Futbolowa mieszanka

Zimą, a zatem i sporty zimowe, mamy za sobą. Adam Małysz godnie zakończył czynną karierę sportową – nasz wyśmienity skoczek w ostatnim swoim konkursie raz jeszcze stanął na podium. Trzecie miejsce w Planicy było pięknym ukoronowaniem jego siedemnastoletniej przygody na skoczniach całego świata. Mało tego – w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata uplasował się na trzecim miejscu, wyprzedzili go tylko Thomas Morgenstern i Simon Ammann. Była jeszcze feta w Zakopanem – wspaniałe pożegnanie wielkiego sportowca i wielkiego mistrza. My, fani, dziękujemy raz jeszcze za potężną porcję radości i emocji.

Nasza mistrzyni w biegach narciarskich Justyna Kowalczyk nie kończy oczywiście kariery sportowej. Nasza biegaczka nie zdobyła w Oslo mistrzowskiego tytułu – tylko 2 srebra i 1 brąz. Straty te zrekompensowała sobie jednak trzecim z rzędu zwycięstwem w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Przyszły sezon powinien być ciekawy – nie ma olimpiady, nie będzie mistrzostw świata, rywalizacja będzie się więc koncentrowała na zawodach Pucharu Świata.

Skoro zimą mamy za sobą, czas na futbol. Trwają rozgrywki ekstraklasy, w której na prowadzenie szybko wysunęła się Wisła Kraków. Inni kandydaci do mistrzowskiego tytułu grają dość zmiennie. Straty z pierwszej rundy nadrobił Lech Poznań, który znów liczy się w walce o miejsce w pierwszej trójce. Zawodzi natomiast Polonia Warszawa. Piekli się też właściciel i szef klubu – zmienia trenerów, karze zawodników, co nie wpływa korzystnie na grę zespołu. Na uznanie zasługuje postawa Cracovii, która w czterech meczach rundy wiosennej zdobyła tyle samo punktów, co w piętnastu spotkaniach pierwszej części sezonu.

Ostatnim istotnym wydarzeniem w europejskim futbolu był kongres UEFA, w którym wybierano nowe władze. Polscy działacze z niecierpliwością czekali na kongresowe wieści, a to dlatego, że do władz europejskiego futbolu chciał się koniecznie dostać Grzegorz Lato, prezes PZPN. Niestety, nie spełniły się jego pragnienia. Otrzymał niewiele głosów, bodaj 10. Można to było przewidzieć. Zarówno Grzegorz Lato, jak i polski futbol nie liczą się w Europie. Poza tym o takiego gremium (komitet wykonawczy UEFA) decydują układy i prywatne koneksje, a Lato do tego daleko. Były prezes PZPN Michał Listkiewicz stwierdził, że jest to dość przykra porażka urzędującego prezesa i polskiej piłki nożnej, z którą mało kto w Europie się liczy. Nie podobają mi się te słowa Listkiewicza. To przecież za czasów jego „światłokopresostwa” nastąpił prawdziwy upadek polskiej piłki nożnej, czego najlepszym dowodem była afera kupowania i sprzedawania meczów.

Warto przypomnieć, że w ów proceder zamieszani byli zarówno przyjaciele, jak i najbardziej zaufani współpracownicy Michała Listkiewicza. A wracając do jego wypowiedzi, przecież on sam również nie zrobił jak dotychczas większej kariery w międzynarodowej federacji. Jest co prawda w komisji sędziowskiej FIFA, ale swój awans zawdzięcza prywatnemu poparciu prezydenta FIFA Seppa Blattera.

Moim zdaniem, ambicje Grzegorza Lato były nazbyt wygórowane. Jako działacz niczym wielkim nie zasłużył się dla

polskiej piłki. A problemów, którym trzeba stawić czoła, w naszym futbolu nie brakuje. Właśnie w tych sprawach prezes powinien być motorem napędowym rozwiązywania nabrzmiałych spraw. Nadal nie ma przecież sensownego programu szkolenia młodzieży. W efekcie w zespołach ekstraklasy jest coraz więcej obcokrajowców o przeciętnych umiejętnościach. Ich obecność w żaden sposób nie wpływa pozytywnie na poziom krajowej piłki nożnej. Coraz mniej pokazuje się natomiast obiecującej młodzieży. Jak tak dalej pójdzie, to w reprezentacji na EURO 2012 zobaczymy tylko naturalizowanych Polaków. W tej chwili trener Franciszek Smuda ma ich już pięciu w podstawowej jedenastce.

Polski futbol jest chory, a choroba zaczęła się za czasów wspomnianego już Michała Listkiewicza. I nadal zżera polską piłkę nożną. Mizerne wyniki na europejskiej arenie, od seniorów po młodzieżowców. Do tego ledwie zipiące kluby-spółki. Nad kilkoma drużynami ekstraklasy zebrały się wyjątkowo czarne i ciężkie chmury. Okazuje się bowiem, że większość z nich jest mocno zadłużona i nikt nie potrafi powiedzieć, skąd wziąć środki na spłaty tych długów. Może nawet dojść do tego, że w nowym sezonie zabraknie w ekstraklasie takich zespołów jak Górnik Zabrze, Polonia Bytom, Ruch Chorzów czy Śląsk Wrocław. Zadłużenie Górnika Zabrze wynosi dla przykładu prawie 40 milionów złotych, Polonii Bytom nieco mniej, bo 15 milionów. Firma Allianz, główny udziałowiec w spółce Górnika, nie jest w stanie utrzymać klubu, a innych sponsorów brak. Podobnie jest w Polonii Bytom. W niektórych klubach zawodnicy już od trzech miesięcy nie otrzymali wynagrodzenia, a zaległości z tego tytułu są poważne.

Przykładem Widzew Łódź. Klub jest winien zawodnikom już prawie 2 miliony złotych. Gdzie indziej jest podobnie. Inna sprawa, że na to zadłużenie szefowie klubów zapracowali sobie sami. Niby tajemnicą są zarobki piłkarzy, a przecież każdy wie, że byle przeciętniak ma w kontrakcie zapisaną gażę co najmniej 20 tys. złotych miesięcznie, nie licząc dodatkowych premii za wygrane mecze. Nie ma wątpliwości, że zarobki naszych „kopaczy” są wygórowane. I nie można odwoływać się do zarobków w ekstraklasie hiszpańskiej czy angielskiej – tam się w piłkę gra, a nie ją kopie.

Wspomniałem, że niektórych drużyn może zabraknąć w przyszłym sezonie w ekstraklasie. Do końca marca wszystkie kluby zobowiązane były złożyć w PZPN dokumenty uprawniające do otrzymania licencji na grę. Dokumenty te powinny zawierać informacje o płynności finansowej, niezaleganiu z przeróżnymi opłatami, w tym wynagrodzeniami zawodników, czy spełnianiu przez stadiony wymogów, jakie stawia europejska federacja.

Brak licencji automatycznie eliminuje klub z rozgrywek ekstraklasy. Można więc powiedzieć, że od kwietnia br. zaczyna się gorące dni oraz zabiegi o jej otrzymanie. Wszystko wskazuje na to, że polską piłkę nożną nadal zżera choroba. A prezes PZPN Grzegorz Lato zamiast zająć się poważnie krajowym podwórkiem, zapragnął być europejskim bonzą.